

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Hasła i program.

Bawi obecnie w Stanach Zjednoczonych prof. M. Birżiszka, prezes Związku Odzyskania Wilna w celach propagandy wśród tamtejszych Litwinów przewodniej idei organizacji, na czele której stoi. W jednej z wygłoszonych tam mów, o której podaje relację organ Związku „Musu Vilnius”, prof. Birżiszka oświadczył m. in. co następuje: „Polska to olbrzym na glinianych nogach. Wyrosła ona nienormalnie i musi stać się ofiarą anarchji. Trzecią część jej ludności stanowią mniejszości narodowe. Narody te nie posiadają jeszcze własnych państw, lecz przykład słabszej liczebnie od nich niepodległej Litwy pozwala mieć pewność, że zrzucą one obce jarzmo. Związek odzyskania Wilna nie zamierza odnowić tradycji państwa Witolda Wielkiego, o stworzeniu którego marzy Polska (?), uważa jednak, iż Litwa jest spadkobiercą idei Witoldowej szerzenia na Wschodzie zachodnio europejskiej kultury. Polsce przeciwstawić się będziemy mogli jedynie wtedy, gdy od morza Bałtyckiego do Czarnego stanie nieprzerwany szereg zdrowych narodów, gdy ludy państw bałtyckich i wyzwolone narody ruskie uznają wspólne swe zadanie krzewienia kultury na wschodzie Europy. Wówczas może będzie miała w nas Polska dobrych sąsiadów”.

Przedewszystkiem trzeba sprostować nieścisłości w twierdzeniach prof. Birżiszki. Słuchacz niezbyt dokładnie obeznany ze stosunkami etnicznymi w Polsce może ze słów p. Birżiszki z łatwością wywnioskować, że trzecią część ludności państwa polskiego stanowią narodowości białoruska, ukraińska i litewska, bo je właśnie miał na myśli mówca, gdy rozwijał perspektywę wspólnej walki z Polską. Tymczasem na tę trzecią część mniejszości narodowych w Polsce składają się prócz Ukraińców, Białorusinów i Litwinów jeszcze Żydzi, Niemcy i Rosjanie, co nie

jest bez znaczenia dla siły i liczebności tego wspólnego frontu, w którym pokłada tyle nadziei prof. Birżiszka.

Zespolenie wszystkich tych elementów niepolitycznych w jeden wielki czynnik fermentu i rozkładu państwowego wydaje się być rzeczą mało prawdopodobną, gdyż doświadczenie Bloku Mniejszości Narodowych dowiodło, że w dążeniach poszczególnych jego członków panuje wielka rozbieżność. Rachować w takiej akcji odśrodkowej na Żydów i Rosjan byłoby zupełną naiwnością, Niemcy zaś mają swoje specyficzne odrębne cele, które bynajmniej nie pokrywają się z dążnościami mniejszości słowiańskich w płaszczyźnie międzynarodowej. Zresztą prof. Birżiszka wyraźnie mówił o narodach, nie posiadających własnych ośrodków państwowych, czyli wyłącznie o Ukraińcach i Białorusinach, tych zaś ilość o wiele nie dochodzi do trzeciej części ogółu ludności państwa polskiego.

To jedno. Po drugie prof. Birżiszka nie bierze zupełnie pod uwagę zasadniczej różnicy między sytuacją geograficzno-polityczną Litwy z jednej strony a Białorusi i Ukrainy z drugiej. Litwa znajduje się w tem szczęśliwym położeniu, że jest poniekąd na stronie wobec dziejowego antagonizmu polsko-rosyjskiego, nie jest narażona bezpośrednio na takie lub inne jego wyniki i może nawet z powodzeniem odegrać do pewnego stopnia rolę jęczyczka u wagi. Bardziej jest już zainteresowana w rozwoju stosunków polsko-niemieckich, lecz to jest kwestja odrębna.

Całkiem odmienną jest sytuacja Białorusi i Ukrainy. Są one wzięte we dwa ognie, znajdują się stale między młotem i kowadłem. Walka z Polską, do której je nawołuje prezes Związku Wyzwolenia Wilna, gdyby nawet uwieczniona była powodzeniem, nie przyniosłaby im wyzwolenia narodowo-państwowego, bo wówczas niewątpliwie trafiłyby w orbitę potężnych wpływów Rosji Sowieckiej i wskutek natural-

nego ciężenia do znacznie większych obszarów białoruskich i ukraińskich, wchodzących w skład Związku Sowieckiego, niebawem znalazłyby się w jego klezczach. A w razie, gdyby wykazały odporność, zostałyby wcielone doń przemocą. Ewentualność zaś tego rodzaju nie uśmiecha się bynajmniej najbardziej nawet nieprzejednanym iredentystom białoruskim i ukraińskim. A i los Wileńszczyzny, na którą Kowno zapatruje się wprawdzie jako na Wschodnią Litwę, lecz Mińsk jako na część Zachodniej Białorusi, w tym wypadku byłby wysoce problematyczny.

Trudno przypuścić, aby z tych wszystkich możliwości i konsekwencji nie zdawał sobie jasno sprawy prof. M. Birżiszka.

Nawoływanie więc do wspólnej walki litewsko-białorusko-ukraińskiej z polskim imperjalizmem należy zaliczyć do rzędu haseł wiecowych, mających na celu wywołanie wewnątrz państwa polskiego wrogich nastrojów, przyczynienie mu trudności i być może wymuszenie tą drogą ustępstw na rzecz aspiracji kulturalno-narodowych i politycznych mniejszości słowiańskich, względnie litewskiej. W żadnym razie nie jest to program realny, ani nawet ideowy, mający doprowadzić do rozwiązania kwestji wileńskiej a zarazem białoruskiej i ukraińskiej w płaszczyźnie międzynarodowej.

Jakiż tedy jest program pozytywny Związku Wyzwolenia Wilna?

Na to pytanie, które już kiedyś zadawaliśmy, nie znaleźliśmy dotąd odpowiedzi ani w ustnych, ani w drukowanych wynurzeniach kierowników Związku.

We wspomnianej mowie prof. Birżiszka zaznaczył tylko negatywne stanowisko Związku wobec tradycji państwowych W. Ks. Witolda, których zwolenniczką rzekomo mieni się Polska. Skąd prof. Birżiszce przyszło do głowy podobne posądzenie? Gdyby Polska istotnie dążyła do wskrzeszenia planów Witoldowych, to nie byłoby ani zatargu polsko-litewskiego, ani tragedji białoruskiej, ani akcji pacy-

fikacyjnej ukraińskiej. Nie, jak dotąd niema ani jednego odpowiedzialnego polityka polskiego, któryby rozumiał i podzielał koncepcję Witolda Wielkiego. A niestety, jak stwierdza prof. Birżiszka, i w Związku Wyzwolenia Wilna nie znajduje ona wyznawców.

I to jest właśnie największe nieszczęście. Bo idea Witoldowa stworzenia wielkiego państwa (według współczesnych pojęć oczywiście na podstawach federacyjnych) litewsko - białorusko - ukraińskiego w przymierzu z Polską nie utraciła i dziś jeszcze swojej aktualności ze względu na mało zmieniony układ sił we wschodniej Europie, a przede wszystkim ze względu na te same wspólne niebezpieczeństwa, które groziły wówczas i grożą dotąd słabszym organizmom narodowym i państwowym ze strony dwóch zachłannych potęg.

Podobną myśl rzuca zresztą i prof. Birżiszka, ale jak ją urzeczywistnić wypowiadając bezwzględna wojnę Polsce?

Jeżeli walka na dwa fronty na dalszą przyszłość wydaje się beznadziejną dla Polski, to tembardziej jest nie do pomyślenia dla słabszych o wiele pod względem kulturalnym i organizacyjnym narodów białoruskiego i ukraińskiego, a i Litwa, mimo swego ustronnego położenia, ze względu na Wileńszczyznę i Kłajpedę ma również swoją Scyllę i Charybdę.

Rozumiał to dobrze Witold Wielki, dlatego swe aspiracje wielkomocarstwowe opierał stale na przymierzu i wspólnej linii politycznej z Polską. Chciwość panów małopolskich zniszczyła jego wielkie dzieło, tak jak dziś krótkowzroczny nacjonalizm polski niedopuszcza do jego wskrzeszenia. Ale idea nie traci przez to nic na swej wartości i słuszności, i obowiązkiem tych, co wierzą w jej zbawiennność, jest twardo stać przy niej, krzewić ją i zdobywać jej szerokie koła zwolenników. Gdy rozbłyśnie jasnym płomieniem nad naszym horyzontem, wówczas i myśl polityczna polska będzie się z nią poważnie liczyła, a być może z czasem pojmie swe dotychczasowe błędy w dalszej i bliższej przeszłości.

PETRAS CVIRKA

Dokąd wójt drogi budował?

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

(Dokończenie).

Gdy wójt odjechał, ludziska zebrali się do kupy, radzili, huczeli, kleli wójta. Niektórzy byli zadowoleni. Ale tych było niewiele i ci stali na uboczu.

Chłopi z czterech wsi a niezadługo i chłopi jeszcze z trzech wsi zainteresowali się: — Gdzie te drogi się kończą, do jakich parafij wiodą?

Wszystkie wsie wybrały trzech delegatów. Ci trzej wsiedli do woza i pojechali przez lasy ku nowej drodze. Prosto przez lasy szumiące.

Droga szła naprawdę przez lasy, które miały być przerabane i wykarczowane.

Bagna nieprzebyte, zwalone drzewa, gęstwina

niewysłowiona, w południe promienie słońca nie dochodziły!

Wóz coraz to stawał. A gdy rozpoznano drogę, ruszał dalej.

— I tedy zamyślił drogę przeprowadzić! Sto biesów zaprzęgłszy, takich korzeni się nie wyrwie.

— Może i można tedy przeprowadzić drogę, ale to nie jednego roku praca.

— Ale po co? Do Papartina można dojechać przez Piłkiale, do Kowna przez Giedupie. A tedy nikt nigdzie nie jeździ. Powiadają, że dawniej tedy do Rygi po sól jeździli.

Trzeci mówił:

— Gdy się przez taki bór drogę przeprowadzi, to wkrótce bór zginie. Jak przy Niemcach. Pokradną drzewa, wywiozą. A tak — dojechać nie mogą.

— Śliczny bór wyrósł. Jakie sosny!

Że radował ich bór zielony swym szumem, że

Pod znakiem kryzysu.

Kryzys gospodarczy mamy dziś nie tylko w pełnym rozkwicie — ale i w modzie. O kryzysie rozprawia dziś żuk i żaba. Stał się on konikiem, na którym hałaśliwie harują rozmaici domorośli i importowani statyści, popisując się swojemi projektami, radami i. t. p. — zaciemniając często istotny stan rzeczy w kraju, wywołując zamieszanie pojęć i zjawisk. Najmniej naturalnie mówi się o stanie rzeczy w naszym kraju, chętniej pławiąc się w rozważaniach światowego kryzysu, dumpingu sowieckiego i t. p. globalnych kwestiach.

Pogłębiający się szybko kryzys, jak można zaobserwować, zdezorientował zupełnie naszą „oficjalną” opinię. Projekty i nadzieje, tak jeszcze aktualne niedawno, a polegające na jakichś rzekomo specjalnych, szeroko pomyślanych sukursach rządowych dla biednej Wileńszczyzny — pozostały marzeniami ściętej głowy. Już o nich nawet się nie mówi. Wprawdzie poseł Hołowko w swojej wielkiej mowie sejmowej, chociaż nic konkretnego nie obiecał kochanym „Kresom”, to bądź co bądź podniecił błogie nadzieje i wyobraźnię optymistów. Ale cóż z tego, kiedy od strony Warszawy powiał wiatr oszczędności. Zaciśnięć pasa radzą stamtąd. Radosna twórczość wielu działaczy zmienić się musi na kłopotliwą oszczędność. Jak słyhać i widać, oszczędność narazie jest jedynie aktualnym posunięciem rządu w związku z kryzysem. Oszczędność ta przejawia się w pierwszym rzędzie w zapowiedzianych redukcjach w urzędach, subwencjach, kredytach i t. p., nie dotykając jednak podatków i świadczeń socjalnych. Sprawia ona dużo zmartwień, wywołuje dużo żalów ze strony tych grup, które w ten lub inny sposób żywiły się przy korycie rządowym. Natomiast warstwa najbardziej kryzysem dotknięta, a więc przemysłowcy, kupcy, rolnicy i t. p. — z większą rezygnacją przyjmują ciężkie uderzenia kryzysu, trzeźwiej patrząc na istotny stan rzeczy i nie oczekują już błogich niespodzianek, któremi się jeszcze do niedawna tu i ówdzie łudzono.

Sytuacja ekonomiczna staje się w kraju z dnia na dzień coraz bardziej ciężką. Zredukowany przemysł coraz bardziej kłoni się ku upadkowi, handel, wskutek zubożenia rolników, obumiera, rolnictwo znalazło się w stanie rozpaczliwej stagnacji.

Mało produkująca wieś, jeżeli dzięki urodzajowi

nie głoduje — to cierpi z powodu zupełnej atrofji środków pieniężnych. Wieś nasza siedzi literalnie bez pieniędzy. Normalnie mało sprzedający włościanin żył siako tako dzięki dobrym cenom na produkty, a w znacznym stopniu dorabiał sobie zarobkami ubocznymi. Ceny dziś spadły tak znacznie w stosunku do okresu z przed 2—3 lat, że z tego źródła uzyskuje tylko nieznaczne wpływy. Gdy jeszcze w r. 1927 otrzymywał za pud zboża 6 zł. — to obecnie otrzymuje 2 zł., za pud włókna lnianego dostawał 50 zł. — dziś 8 zł., za sztukę bydła otrzymywał 400—450 zł. — dziś dostaje 150 zł. i t. d. Eksploatacje leśne, przy których włościanin zarabiał często pokaźnie — ustały. Inne możliwe zarobki również zredukowały się do minimum. Miasto biedne, przepełnione bezrobotnymi — nie przyjmuje zupełnie normalnego przyrostu wsi. Emigracji niema prawie. Wieś więc znalazła się, jak w zakorkowanej butelce. Tymczasem stopa życiowa wsi wyszła po wojnie z okresu dawnego prymitywizmu: powstają nowe potrzeby, nowe wymagania życiowe, nowe warunki pieniężne.

Wieś nasza jest przytem bardzo zadłużona. Nie mało przyczyniła się do tego polityka finansowa rządu, który w ostatnich latach wprowadził do kraju znaczne sumy kredytowe, zasadniczo ciężkie dla rolnictwa, a wprost zabójcze w dobie obecnego kryzysu. Tak zwana spółdzielczość kredytowa, która obraca głównie kredytami rządowymi, operuje procentami niemożliwymi dla naszego rolnika, średnio pobierając 15 do 24% rocznie. Prymitywne nasze gospodarstwa, rzecz prosta, nie mogą wytrzymać takiego kredytu. I tu należałoby napiętnować postępowanie gorliwych kulturtregerów, którzy opanowawszy sytuację w rozmaitych organizacjach rolniczych i spółdzielczych, z karygodną lekkomyślnością pchali nieorientujących się wieśniaków do wykorzystywania rozmaitych „dobroczyńnych” kredytów. Przykładem mogą tu być tak zwane kredyty nawozowe, czyli udzielane na nawozy sztuczne, przeważnie pochodzące z fabryk rządowych. To samo można powiedzieć o kredytach na kupno krów, przed paru laty dosyć szeroko rozdawanych. Otrzymałszy np. 400 zł. kredytu, włościanin kupował w r. 1928 jedną krowę, a doliczywszy procenty, dziś na opłacenie tego kredytu musiałby sprzedać 3 podobne krowy. Naogół biorąc, kredyty rządowe (tak głośno reklamowane), w przeważającej części krótkoterminowe, nie tylko

czuli się dobrze wśród wyniosłych drzew, wóz zwole na się posuwał.

Gmina widgirzańska chociaż mokra, ale za to długa i szeroka.

Długo jadąc przez długie bór, w końcu ludzie na długie łąki wyjechali.

Na łąkach kwieciami pachniało, a po drzewach skradał się już wieczór.

— Za tym nasypem zaczyna się gmina egleńska. Dojechali do rzeczki, przez którą nowa droga miała prowadzić.

Rzeczulka płynęła wartko, a poza nią droga ginęła.

Tuż obok, na ugorze, włókł się parobek za pługiem.

— Powiedz no, człowieku, gdzie to się droga kończy.

Parobek wskazał biczyskiem i odrzekł:

— Oto tu kończy się droga.

— A czy za rzeczką łączy się z traktem Egleńskim?

— Co do Rosień prowadzi?

— Właśnie.

— Nie.

Wsiedli chłopina wóz. Na brzeg rzeczki wyszło stado bydła.

— Trzebaby spytać, kto tą ziemią włada, — mówili między sobą.

— A czyja to ziemia, człowieku?

— Kierszusa.

— To ten Kierszusi!

I przypomnieli sobie, że Kierszusi to bogacz, mieszkający za lasem. Sam, jeden za lasem. Przypomnieli sobie i o jego córce niezameżnej, którą Dudzie sam proboszcz swatał. A proboszcz z Kierszusem jakby krewni.

— Ale po kiego Itcha ta droga?! Jakby psu pod ogon!

nie przyczyniły się do poprawy sytuacji naszego rolnictwa, lecz przeciwnie, jak się obecnie okazuje — stworzyły podatny grunt dla rozwoju kryzysu.

* * *

Obecnie kryzys, oprócz swoich namacalnie odczuwanych stron ujemnych, może mieć dla nas i swoje dodatnie strony. Przeżywany wstrząs ekonomiczny otworzy bowiem oczy na naszą rzeczywistość, rozchwieje wiele złudzeń i być może pobudzi do szukania nowych dróg.

Kraj nasz wszedł w okres kryzysu już dawno. Zrodził się z warunków politycznych, w których znaleźliśmy się po wojnie. Martwe granice, które z kraju naszego uczyniły ślepy zaułek, niepomyślne warunki komunikacyjne, zupełnie nowe warunki rozwoju ekonomicznego — wszystko to wpłynęło wybitnie na to, że znaleźliśmy się w okresie, jakoby naturalnego, długotrwałego kryzysu, na który zaradzić było trudno w sferze wewnętrznych możliwości. Linja rozwojowa naszych stosunków gospodarczych, jak wiadomo, wciąż spadała i trzeźwo patrząc na stan rzeczy trudno było przewidzieć, przynajmniej w bliskiej przyszłości, jakąś znaczącą poprawę sytuacji. Jednakże, jak zawsze, bieg życia gospodarczego, przystosowując się do obecnych warunków, znalazłby jakąś rozsądną drogę wyjścia. Tę drogę mogło jednak nastąpić jedynie wówczas, gdyby nie poddano nas szeregowi rozmaitych eksperymentów i jeżeliby nie uderzał w nas tak bezlitośnie młot centralizmu państwowego. Jeśli dzisiaj tak zwany kryzys koniunkturalny bije nas zbyt boleśnie — to szukać przyczyny tego należy przede wszystkim w tym, że dzięki zastosowaniu do nas centralistycznej polityki państwowej, zostaliśmy osłabieni i wykołajeni z normalnych warunków bytowania.

Objektywnego obserwatora naszego życia gospodarczego musiała uderzać pewna jego sztuczność, narzucana nam z zewnątrz. Szczególnie łatwo było to spostrzec w stosunkach wiejskich. Na ubogim i prymitywnym organizmie naszej wsi starano się przyszczepić formy, odbiegające bardzo od jego możliwości i potrzeb. Wyglądało to tak, jakby do kożucha przypięto kwiatek, a do łapci ostrogi.

Przedewszystkiem narzucono samorządy, w których wszystko się robiło i robi bez żadnego udziału i woli głównego elementu każdego samorządu — bez

udziału zainteresowanych obywateli-płatników. Rozrosły się te „samorządy” bardzo bujnie, obciążając naturalnie masy obywateli-płatników. Pod szyldem samorządu, prawie niezależny od nikogo starosta w powiecie, a w ślad za nim wójt (a raczej pisarz) w gminie — lekką ręką wydawali ogromne sumy, zbierane z podatków. Miały te samorządy swój okres świetności, gdy miały w bród pieniędzy z podatków, dosyć pokaźne dotacje i subwencje rządowe. Wówczas istotnie zapanowała w nich „radosna twórczość”. Byle tylko zapał i inicjatywa dopisały panu staroście, a robił co chciał, zbierając przytem pochwały i zachętę od władz wyższych. Istotnie, należy przyznać, że zrobiono dosyć dużo w dziedzinie komunikacji: drogi i mosty w wielu miejscach uporządkowano gruntownie. Ale ile to kosztowało — tego jeszcze nikt dobrze nie obrachował.

Potrącając o drogi należy jednak wspomnieć o tem, że władze decydujące patrzą u nas na drogi oczami automobilistów, dopasowując drogi częściej do raidu samochodowego, niż do potrzeb wózka włościańskiego. Bo przede wszystkim „samorządy” (czytaj starostowie) stały się pionierami automobilizmu. Samochód, — na którym zresztą jeździ się 60—80 kil. na godzinę — nadał życiu władz starościńskich i samorządowych to swoiste tempo, do którego, rzecz prosta, nie mógł się przystosować ani zabiedzony włościański konik, ani obuty dziś w łapcie kmiołek. To też tworzyła się rozbieżność między zapałem władz samorządowych (czytaj starostów), a możliwościami płatnika. Gdy władze, z iście automobilową szybkością, parły naprzód — płatnik materialnie się cofał. I wreszcie stało się to, co stać się musiało — odeszli od siebie zadaleko.

Zatrzymaliśmy się na samorządach wiejskich dłużej, gdyż one właśnie, dzięki swojej specyficznej konstrukcji, przy której władza administracyjna ma decydujący głos, a w gruncie rzeczy rządzi wszystkim — bardzo wybitnie wpływały na bieg życia wiejskiego. Działalność ich gospodarcza, obliczona na koniunkturę wciąż wzrastających wpływów finansowych — musiała się zerwać, wobec pogłębiającego się kryzysu. I tu przytoczę opinię pewnego rozgarniętego włościanina, z którym prowadziłem rozmowę o działalności samorządu (sejmiku), w szczególności pochlebnie odzywając się o drogach. Powiedział mi tak: „*dyk sztoż z hetaho szto nastroiili szmat daroh, kali niema użo czaho wazić*”. Tak obiektywnie ocenia

— Bo i prawda!

Wreszcie wszyscy trzej zrozumieli, czemu to wójt chce nową drogę poprzez bór przeprowadzić, nową drogę szeroką w tak dziwnym kierunku.

I wracając nocą przez bór klęli Dudę z całej duszy i z całego serca.

* * *

Nie bardzo będziesz gadał na wójta. Człek może pomstować na Boga, djabła, ale na wójta nie tak bezpiecznie, — poniesie wiatr do wójtowego ucha, a kiedy trzeba będzie podpisu w gminie, świadectwa, paszportu, lub pieczęci, — to gorzko zapłakać wypadnie.

Dlatego wszyscy kopali rowy, żwir wozili, w czasie żniwa oblewali potem nową drogę.

I przeprowadzili ją.

Coprawda droga ładna, ale ile kosztowała pracy!

Po tej drodze nikt nie jeździł. Jakby umyślnie nikt nie miał potrzeby nią jeździć.

Jeno pastusi, co w lecie bydło paśli, powiadali, że po deszczu na tej drodze widać ślady kół cienkich.

Ślady przez las wiecznie szumiący.

Uradzili, że są to ślady bryczki wójtowej.

Przeto dokąd jeździł Duda nową drogą przez bór — wszyscy wiedzieli i szeroko o tem mówiono po wsiach.

Na Zielną wójt przywiózł z za lasu córkę Kieresziusa. Przez całą noc jechały wozy z posagiem, družbowie radosne okrzyki wydawali. Śpiewali pijani goście.

* * *

I znowu długo po tej drodze nikt nie jeździł. Ślady cienkich kół również się nie ukazywały. Rowy zielskiem zarosły, gdzie niegdzie zasypała je glina, tu i ówdzie wyrosły osiny.

Po ślubie Dudy lżej odetchnęła gmina. Wójt już nie włóczył się tyle. Częściej można go było znaleźć w kancelarji gminnej.

szary obywatel ze wsi działalność samorządu: robiliście, robiliście — a w rezultacie jest gorzej, niż było.

Najbardziej jednak odbiega od życia aparat gminnego samorządu. W gminie już samorządu nie ma żadnego, jest ona całkowicie zbiurokratyzowana i tylko wypełnia funkcje czysto administracyjne, zleczone przez władze, uchwalając, a raczej bezwolnie akceptując ustalone z góry podatki.

Nie mniej niż „samorządy“ zdradzają zupełne niedopasowanie się do życia, rozmnożone sztucznie, rozmaite organizacje po wsiach, a w szczególności spółdzielcze.

Bilans ich działalności kilkoletniej też nie przedstawia się różowo. Mnożono te organizacje po wsiach naszych „po prikazu“, byle więcej numerów. Aranżerami tych przedsięwzięć byli jednak, niestety, ludzie obcy naszemu krajowi, nie znający naszych warunków, potrzeb, możliwości, a głównie mający na widoku wyraźną tendencję polityczną. Kulturregerzy ci, głęboko ufni w swoje tu cywilizacyjne (misja Polski na kresach) posłannictwo — mierzyli istotnie siły na zamiary, bynajmniej nie krępując się względami gospodarczymi. W rezultacie natworzono po kraju wielką ilość tych spółdzielni, bez ładu i składu, wiążąc je ściśle z warszawskimi centralami i w rezultacie cała ta spółdzielczość, która w innym wypadku powinna by właśnie obecnie odegrać jakąś poważniejszą rolę, stała się sama objektem kryzysu.

Wiele z tych spółdzielni już dogorywa, wiele prawdopodobnie nie przetrzyma kryzysu. Np. spółdzielnie mleczarskie, których namnożono w ostatnich latach wielką ilość (szczególnie w woj. nowogródzkim) w znacznym stopniu okazały się zupełnie mało żywotnymi i bodaj połowa z nich przestanie istnieć. Trudno jednak całą winę spychać też na organizatorów faktycznych, wśród których zresztą spotkać można zapalonych entuzjastów pracy i ludzi bezinteresownych. Większą odpowiedzialność ponosić tu muszą te czynniki kierownicze, które dopinowały te sprawy subwencjami i kredytami, nie stworzywszy rzeczowego planu na dalszą metę.

Niepomyślny wynik tej akcji dawał się przewidywać. Trudno bowiem okólnikami normować życie gospodarcze.

To samo co o spółdzielniach możnaby powiedzieć o kółkach rolniczych, które również są poważnie martwymi numerami. I tu również należy

stwierdzić, że są to kwiatki sztucznie tu hodowane, gwoli ambicjom działaczy, czy też tendencjom politycznym.

W gruncie rzeczy masa włościańska nie ma u nas swojej organizacji, rządzonej jakimś rzeczowym planem i przyspasabiającej ją do walki z coraz to nowymi warunkami bytu. Zresztą, po przeprowadzonej przed dwoma laty „unifikacji“, scentralizowano wszelkie organizacje w Warszawie, która naturalnie daleką jest od tego, aby kierować rozsądnie i życzliwie życiem naszej wsi.

Pomijając szkolnictwo, które należałoby omówić obszerniej, a o którym trzeba tylko to zaznaczyć, że jest nie tylko obce dla naszego ludu, ale oprócz tego jest niepomierne drogie w stosunku do tego, co daje wsi naszej — można bez przesady stwierdzić, że wszystko to, co się zrobiło i robi, jest tak niedopasowane do naszego gruntu, tak bezplanowe, tak odbiegające od możliwości kraju, iż musiało w rezultacie ujemnie zaważyć na sile i odporności organizmu gospodarczego.

Normalny rozwój ekonomiczny wymaga dla siebie normalnych warunków, w sztucznej zaś atmosferze mogą wyrastać tylko cieplarniane rośliny, dla których nasz surowy klimat jest zabójczy.

Rusticus.

Wyprostowana linja.

Straszliwa tragedia, jaką przeżywa obecnie Wschodnia, Sowiecka Białoruś, poruszyła do głębi całe miejscowe białoruskie społeczeństwo, każąc mu zapomnieć na chwilę o własnych bólach i troskach.

Przytoczone poniżej protesty dwóch centralnych organizacji białoruskich, (które niestety nawet w takim momencie nie potrafiły wystąpić wspólnie) wymownie malują warunki, w jakich się znajduje obecnie „niepodległa“ republika białoruska w obrębie Związku Sowieckiego, i które popchnęły dwóch wybitnych jej przedstawicieli do zamachu samobójczego.

Szczególniej znamienne jest samobójstwo jednego z długoletnich organizatorów i przywódców Białoruskiej Partji Komunistycznej, pierwszego ludowe-

Szły lata. Na zapalenie płuc umarła żona Dudy. I na nowej drodze ostatni raz odcisnęły się ślady kół: to trumnę przez las wieziono.

Wójt niedługo rozpaczał. Dobudował kawał chaty, dach świrna gontem pokrył, zgolił całkiem wasy.

Poczęto mówić, że Duda jeździ do wdowy Jotantasowej. Znowu przez bór szumiący, ale w zachodnią stronę. A tam — żadnej drogi, żadnego śladu kół od samego początku świata. Jeszcze gęstszy bór, jeszcze grubsze sosny.

I znowu poczęto mówić o nowej drodze.

Może umyślnie ktoś puścił wieść, że w Widgirzańskim błocie ugrzązł samochód z jasnymi panami.

Zebrawi się wówczas widgirzanie i wystosowali do władzy pokorną prośbę, w której bardzo uniżenie prosili o nieprzeprowadzanie nowej drogi do folwarku Jotantasowej.

Bardzo pokornie prosili władzę o to, by pow-

ściągnęła Dudę, by zakazała mu żenić się z Jotantasową, bo przywiezienie wójtowego wiana wszystkim wsiom bardzo drogo wypada, a droga ta im jest wcale niepotrzebna.

W prośbie wspomnieli również o swej biednej, smutnej krainie zapomnianej przez wszystkich i wzgardzonej. Błagali władzę, by przyjechała i popatrzała, jak oni żyją.

Pod prośbą podpisywali się przez całą noc wieśniacy, gryzmołąc najróżniejsze nazwiska swemi zgrubiałymi od ciężkiej pracy palcami.

A kiedy skończyli pisać, to pismo to było tak samo czarne i nierówne, jak bruzdy na ich polach nieurodzajnych.

Kto wie, może prośba ta i trafiła do rąk władzy, ale widgirzanie nie otrzymali na nią odpowiedzi.

A pogłoski o nowoprojektowanej drodze poprzez rozległe bory wiecznie szumiące, do wdowy Jotantasowej krążyły coraz bardziej uporczywie...

go komisarza, w pierw rolnictwa, a następnie oświaty, prezesa Białoruskiej Akademii Nauk W. Ilnatowskiego, nie tylko twórcy oświaty białoruskiej, założyciela obszernej sieci szkół wszystkich stopni w BSSR. lecz i organizatora oddziałów powstańców w 1920 r. działacza, któremu niejednokrotnie w dniach jubileuszowych prasa sowiecka poświęcała całe numery, witając go, jako „chłopa-komunistę-narcoma”.

O J. Kupale zbytecznym byłoby się tu rozwodzić. Jest to poeta narodowy, laureat i pupil władzy robotniczo-włościańskiej, istotny genjusz młodej Białorusi.

Przypatrzmy się bliżej tej tragedji.

Jeszcze tak niedawno, niemal całe zachodnio-białoruskie społeczeństwo, nie mówiąc już o szerokich masach włościańskich, zwłaszcza te organizacje, które w nich tkwiły swemi korzeniami, wyznawały zdecydowanie orientację wschodnią.

Jedynie białoruskie centrum chrześcijańskie podkreślało mocno swój negatywny stosunek do bezbożnych i krwawych rządów komunistycznych; bardziej radykalne białoruskie ugrupowania mniej lub więcej świadomie zamykały oczy na tę stronę regime'u sowieckiego. Nie było bowiem po tej stronie kordonu organizacji białoruskiej, która by nie żywiła uczucia wdzięczności względem władzy sowieckiej za te bezsprzeczne możliwości, które się otwierały tam przed Białorusinami w kierunku państwowej i narodowej twórczości.

Nawet uznając, że przychylny stosunek czerwonej Moskwy do potrzeb szkolnych białoruskich był wynikiem taktyki dywersyjnej, która miała na celu poderwanie wszelkich wpływów polskich na Białorusi i zapobieżenie jakiegokolwiek ciężeniu ku Polsce społeczeństwa białoruskiego, nie można zaprzeczyć, że te subiektywne pobudki w obiektywnej realizacji wychodziły na korzyść sprawy białoruskiej.

Nie będziemy tu podkreślać, że wszystkie bez wyjątku rządy polskie ze swej strony nie tylko nie czyniły nic dla sparaliżowania taktyki czerwonej Moskwy, ale przeciwnie postępowały tak, jakby im chodziło o zapewnienie tej taktyce jaknajwiększych sukcesów.

Prawdziwi przyjaciele Białorusinów, jak np. znany pisarz ukraiński dr. H. Świencickij, zjadliwie ironizowali nad ostrzeżeniami ze strony polskiej pod adresem Białorusinów przeciwko „darem Danajów”. „Tu kryje się wielka tajemnica przed naszymi grzesznymi oczami, co każą nam, Ukraińcom w Polsce żyć i sobie takiego samego podarunku od wroga”...

W swojej broszurze „Rozkwit życia kulturalno-narodowego we Wschodniej Białorusi” wspomniany autor kreśli obraz wszechstronny rozwoju w ciągu 10 lat życia białoruskiego zarówno w dziedzinie kulturalno-narodowej, jak ekonomicznej oraz państwotwórczej.

Jeżeli nawet Komintern, tworząc te wszystkie możliwości dla Białorusi, miał własne, ukryte plany, to życie robiło swoje; korzystając z nadarzonej sposobności tworzyło nowe kształty zgodnie ze swymi potrzebami i swymi wymaganiami. Życie tworzą wszakże, — według komunistycznych kanonów, — masy, komuniści zaś stanowili 1 proc. całej ludności SSSR, a w BSSR nawet jeszcze mniejszy odsetek.

Tak pisał w r. 1928 dr. H. Świencickij.

W ciągu 10 lat takiej zaprawionej narodowym entuzjazmem pracy, stworzono istotnie bardzo wiele. Powstał stopniowo cały szereg państwowych

kulturalno-narodowych instytucyj, przytem bynajmniej nie fikcyjnych, jak zapewniali sceptycy. „Białoruszczenie Białorusi” rzeczywiście z każdym rokiem czyniło znaczne postępy. Liczni, wychowani w rosyjskiej kulturze działacze oświatowi i naukowci powrócili do swej ojczyzny z łatwością i chętnie odzyskiwali swe naturalne oblicze, którego pozbawił ich w swoim czasie po części naturalny, a po części przymusowy proces asymilacji z narodowością panującą.

Oto, jak opisywał jeszcze w r. 1928 cytowany wyżej obserwator ukraiński sukcesy białoruskiej kultury.

„W stolicy B. S. S. R. w Mińsku, w przyszłości zapewne wielkiem, pięknem mieście życie białoruskie — w pełni rozwoju. Uniwersytet o trzech wydziałach, biblioteka państwowa, muzeum białoruskie, teatr państwowy (potem dwa!), Instytut Białoruskiej Kultury (przekształcony następnie w Akademię Nauk), wydawnictwa państwowe, stowarzyszenia literackie, krajoznawcze i t. p., niezliczona ilość szkół, urzędy w języku białoruskim — wszystko to nadaje Mińskowi jaskrawy i wyraźny charakter narodowej stolicy Białorusi”.

Z goryczą porównywał autor wszystkie te bezsprzeczne zdobycze Wschodniej Białorusi ze stanem rzeczy, istniejącym po tej stronie.

„Oto ani gimnazjum białoruskie, ani muzeum białoruskie, ani towarzystwo naukowe białoruskie nie posiadają ani praw, ani lokali, ani środków”...

Nic dziwnego, że w tych warunkach wśród społeczeństwa zachodnio-białoruskiego coraz bardziej wzrastały sympatje w stosunku do Białorusi Sowieckiej. Republikę białoruską niemal wszystkie stronnictwa białoruskie otwarcie uznawały za swój Pjemont. W Sejmie warszawskim prawowici reprezentanci narodu białoruskiego głosili z trybuny, że „tam, za kordonem buduje się ogólnonarodowy dom białoruski”.

Jeden za drugim, cały szereg wybitnych działaczy politycznych i kulturalnych, nie wyłączając nawet zdecydowanych przeciwników bolszewizmu, powrócił do BSSR, uznał władzę sowiecką, otrzymał możliwość twórczej pracy dla dobra swego narodu. Wystarczy wymienić Smolicza, Ćwikiewicza, Łastowskiego, pomijając już licznych posłów sejmowych, którzy weszli w konflikt z władzami polskimi.

Proces „Hromady” wykazał, jaki wpływ i autoritet posiadał wówczas Mińsk nie tylko dla mas białoruskich, ale i ich przywódców na terenie Zachodniej Białorusi. Związek duchowy i stosunki o charakterze kulturalno-narodowym szły po przez granice państwowe, przeciwstawiając się fatalnym skutkom rozbioru kraju.

Wydawało się wówczas zarówno Świencickiemu, jak i innym obserwatorom, że fundamenty kulturalno-narodowej, a w konsekwencji i poniekąd państwowej samodzielności Wschodniej Białorusi zostały założone tak głęboko i są tak umocnione, że nie może być mowy o żadnym cofnięciu się, o powrocie do dawnego stosunku wobec Moskwy, polegającego na uleganiu jej fizycznej i duchowej przewadze.

A jednakże sprawdziło się to, czego się zawsze obawiali bardziej przenikliwi i krytyczni przyjaciele Białorusinów.

Srogi, tragiczny odwet za zbyt łatwość wobec zdradzieckiego wroga, niestety, nastąpił rychlej, niż można było przypuszczać.

Trudno oczywiście z oddalenia zorjentować się

należycie we wszystkich szczegółach i powodach tragedji, jaką przeżywa obecnie nieszczęsna Białoruś.

Spróbujmy jednak podkreślić główne momenty.

Za moment przełomowy w stosunku Czerwonej Moskwy do narodowych organizmów SSSR. należy, zdaje się, uważać wysunięcie nowej „generalnej linii” Kompartji, oznaczającej ostry kurs przeciwko odchyleniu w prawo t. j. przeciwko włościańskiej opozycji. Rozgromienie narodowych zdobywczy, pogrom narodowościowych organizmów, które wyrosły na gruncie ustroju sowieckiego, zostały poprzedzone ciosem, wymierzonym w zasadę własności indywidualnej, dominującą w układzie gospodarczym na Białorusi i Ukrainie.

Kolektywizacja gospodarki rolnej należy, jak wiadomo, do naczelných zadań nowego kursu stalinowskiego, stanowiąc jedną ze składowych części zakrojonego na wielką skalę planu t. zw. piatiletki.

„Piatiletka” zaś, jak tego nie ukrywają i sami bolszewicy, ma na celu między innymi przygotowanie się do wojny.

Tak więc za istotny powód zmiany kursu w polityce narodowościowej władzy sowieckiej należy uważać perspektywę wojny.

Indywidualizm gospodarczy białoruskiego i ukraińskiego włościaństwa, czyniący je bardziej opornym wobec wszelakich eksperymentów komunistycznych, wywołał, wskutek ustawicznych wypadków przeciwdziałania, nawet zbrojnego, zakusom kolektywizacyjnym, rewizję polityki Moskwy wobec Białorusi i Ukrainy, która doprowadziła w następstwie do rozgromienia, jako specjalnie szkodliwych pod tym względem, ośrodków kulturalno-narodowych w obu pogranicznych republikach.

Istotnie zaś rozpoczęto od niszczenia na Białorusi wyników rozdrobnienia własności ziemskiej, na które tak silny nacisk kładła władza sowiecka w pierwszych latach. Ten sam „narkom” rolnictwa Priszczepow, którego kierunek i działalność obecnie wśród prawowitnych komunistów noszą pogardliwe miano „priszczepowszczyzny” w ciągu całego szeregu lat na wielką skalę, konsekwentnie i bezwzględnie przeprowadzał zaakceptowaną oficjalnie politykę farmerską. Obecnie cała ta niemal 10-letnia praca poszła na marne, a sam Priszczepow siedzi w więzieniu jako kontr-rewolucjonista i szkodnik.

Dziś „chutoryzacja” włościańskiej Białorusi została zastąpiona „kolektywizacją” czy „kołchozacją”, a prosto jej „proletaryzacja”, co grozi krajowi, w którym od wieków panowała zasada własności indywidualnej, zupełnym upadkiem gospodarczym.

Wynikające z planu „piatiletki” zniszczenie ekonomicznej podstawy niebezpiecznej samodzielności Białorusi, musiało w konsekwencji doprowadzić do pogromu wszystkich tych ideowych nadbudówek, wszystkich tych intelektualnych sił i instytucji, które stanęły w obronie odwiecznych podstaw bytu materialnego i psychiki włościaństwa białoruskiego.

Że przy tej sposobności odegrały pewną rolę dawne, jedynie przemalowane na kolor czerwony, wielkorosyjskie tendencje centralistyczno-szowinistyczne, to jest rzeczą wysoce prawdopodobną.

Wobec jednakże dyktatorskiego stanowiska Stalina, któremu jako Gruzinowi z natury rzeczy podobne tendencje muszą być obce, należy uważać za istotny powód bezwzględnych represyj wobec białoruskich działaczy przede wszystkim sprzeczność,

istniejącą w założeniu pomiędzy ustrojem komunistycznym, a dążeniami narodowymi.

Wygięta nieco linja wyprostowała się obecnie i boleśnie uderzyła wszystkich, kto nie chciał lub w czas nie zdążył odskoczyć.

W. S.

Dwa protesty.

I.

Protest Białoruskiego Komitetu Narodowego w Wilnie.

Białoruski Komitet Narodowy w Wilnie na ogólnym zebraniu dnia 22.II.1931 r. po dokładnym rozpatrzeniu i omówieniu położenia tej części narodu białoruskiego, która znajduje się pod władzą partji komunistycznej we wschodniej Białorusi, stwierdza:

Że narodowo-kulturalne położenie narodu białoruskiego we Wschodniej Białorusi, pod władzą partji komunistycznej, stało się nadzwyczaj ciężkie, wprost tragiczne. Okupacyjne władze komunistyczne, tak samo jak dawniej carskie, mając na swych usługach aparat państwowy, jak również białoruskich renegatów, dążą do całkowitego zniszczenia narodowej i kulturalnej samodzielności narodu białoruskiego.

O tem świadczą fakty:

Władze komunistyczne, jak to dziś wiadomo całemu światu, gwałtem rujnują cwieczny gospodarczy i socjalny ustrój we Wschodniej Białorusi, zmuszając przy pomocy straszliwego teroru białoruskie włościaństwo do wstępowania do kolektywów i komun, zaprowadzając tem obcy dla białoruskiego narodu gospodarczy ustrój, który to ustrój jest powrotem do czasów niewolnictwa i pańszczyzny, gdy siłą zmuszano do pracy na rzecz właścicieli;

Władze komunistyczne, w związku z kolektywizacją, przeprowadzają denacjonalizację Wschodniej Białorusi, wysiedlając siłą całe masy białoruskiego ludu do Syberji i do innych odległych krajów Rosji, a na ich miejsce nasylając ludność z obcych krajów i obcych narodowości;

Władze komunistyczne, rujnując naród białoruski pod względem materialnym i fizycznym, niszczą go również pod względem duchowym, przeprowadzając w okrutny sposób prześladowanie religij, zamykając świątynie i znosząc wszelkie objawy religijnego życia we Wschodniej Białorusi;

Władze komunistyczne przeprowadzają także planową, i systematyczną demoralizację wśród młodzieży, odbierając jej idealizm, jej duchowe a nawet fizyczne zdrowie i tem samym rujnując przyszłość narodu białoruskiego;

Przeciwko tym faktom znęcania się nad narodem białoruskim Białoruski Komitet Narodowy już nieraz podnosił głos protestu i obecnie protestuje.

Ale w ostatnich czasach zaszły wypadki, które świadczą że władze komunistyczne przystąpiły do całkowitego zgnębienia białoruskiej kultury i białoruskiego życia narodowego we Wschodniej Białorusi. Najlepsze białoruskie siły kulturalne: członkowie Białoruskiej Akademji Nauk, profesorowie wyższych uczelni, białoruscy uczeni, poeci i pisarze są aresztowani i wtrąceni do więzienia, gdzie poddawani są ciężkim moralnym i fizycznym cierpieniom;

W liczbie aresztowanych znajdują się tak wybitne i zasłużone dla narodu białoruskiego osoby, jak: rektor mińskiego uniwersytetu Piczeta, znany uczyony i b. sekretarz Białoruskiej Akademji Nauk Łastowski; członkowie Białoruskiej Akademji Nauk: Niekraszewicz, Losik, Smolicz; profesorowie i uczeni: Harecki, Priszczepow, Adamowicz, Balicki, Kraskowski, Cwikiewicz, G. Bohdanowicz, Sawicki; poeci i pisarze: Alechnowicz, Dudar, Zarecki, Puszcza, Łuzanin i wielu, wielu innych, którzy stanowią kwiat białoruskiej nauki i literatury, Wszyscy oni już od kilku miesięcy siedzą w więzieniach w niesłychanie ciężkich warunkach, a władze komunistyczne przygotowują wielki proces, domagając się już teraz dla nich kary śmierci.

Takie prześladowanie pracowników na niwie białoruskiej kultury ma miejsce nie tylko w Mińsku, stolicy sowieckiej Białorusi, ale również w Witebsku, Połocku, Smoleńsku, Mohylowie, Homlu i innych miastach Wschodniej Białorusi. Najstarszego ze współczesnych pracowników na niwie białoruskiej kultury, profesora mińskiego uniwersytetu, Epimacha-Szypillę, który za swoje zasługi słusznie jest nazywany Nestorem dzi-

siejszego kulturalnego odrodzenia Białorusi, władze komunistyczne wtrąciły do więzienia, a potem z Białorusi wysłały do dalekiego Leningradu, gdzie pozostawiły bez żadnych środków do życia, tem samem skazując, w komunistycznych warunkach życia, na powolną śmierć.

Polityka władz komunistycznych, tak widocznie rujnująca białoruski naród i jego kulturę, stanie się jeszcze wymowniejszą, gdy sobie uprzytomnimy że te same władze, kilka lat temu, zapraszały z innych krajów na teren Sowietkiej Białoruskiej Republiki białoruskich kulturalnych pracowników (Hareckiego, Smolicza, Łastowskiego, Ćwikiewicza, Kraszkowskiego, G. Bohdanowicza, Sawickiego, Alechnowicza i in.) z tem, ażeby ich potem wtrącić do więzienia i żądać obecnie dla nich kary śmierci.

Te areszty, znęcania się nad uwięzionymi oraz żądania dla nich kary śmierci doprowadziły w ostatnim czasie do tak tragicznych wypadków, jak samobójstwo b. prezesa Białoruskiej Akademii Nauk profesora Ihnatowskiego i największego z poetów białoruskich Janki Kupaly. Władze komunistyczne zmuszały ich również do żądania kary śmierci dla aresztowanych pracowników na polu białoruskiej kultury, ich towarzyszy. Nie mogąc znieść moralnego znęcania się ze strony okupacyjnych władz komunistycznych, położyli dobrowolnie kres swemu ciężemu życiu, ażeby własną krwią z protestować przeciw gnębieniu narodu białoruskiego i jego kultury.

Stwierdzając te fakty, Białoruski Komitet Narodowy przed całym światem kulturalnym zakłada swój protest:

Przeciw straszliwemu i dzielnemu prześladowaniu we Wschodniej Białorusi, znajdującej się pod władzą Sowietów, pracowników na niwie białoruskiej kultury, których władze komunistyczne aresztowują, męczą w więzieniach i dla których żądają kary śmierci;

Przeciw moralnemu znęcaniu się nad tymi Białorusinami, którzy jeszcze pozostali na wolności, a których władze komunistyczne, zmuszając do żądania kary śmierci dla swych towarzyszy, wtrąconych do więzienia, doprowadzają do samobójstwa, jak to się stało z prof. Ihnatowskim i Jankiem Kupalą;

Przeciw wszystkim przejawom gnębienia białoruskiej kultury i tem samem niszczeniu duszy Białoruskiego narodu;

Przeciw wszystkim próbom materialnej, fizycznej i duchowej zagłady białoruskiego narodu pod władzą Sowietów.

Ten protest Białoruski Komitet Narodowy postanawia podać do wiadomości białoruskiego narodu, całego kulturalnego świata oraz przesłać poselstwu Sowietkiemu w Warszawie

Białoruski Komitet Narodowy.

II

Protest Centralnego Związku Biał. Organizacji i Instytucyj.

W chwili rozpadała się imperjum rosyjskiego naród białoruski aktem z dnia 25 marca 1918 roku proklamował w Mińsku niepodległość Białoruskiej Republiki Ludowej.

Na przeszkodzie w urzeczywistnieniu tego aktu woli narodowej Białorusinów stanęła nawała bolszewicka, która po zdobyciu Mińska, drogą orężną, ze swej strony w dniu 1 stycznia 1919 roku proklamowała utworzenie Białoruskiej Socjalistycznej Republiki w składzie Rosyjskiej Socjalistycznej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki. W granicach B. S. S. R. naród białoruski, politycznie podporządkowany czerwonej Moskwie, otrzymał pewne możliwości pracy kulturalno-narodowej oraz w dziedzinie organizowania życia ekonomiczno-gospodarczego, brjownikom zaś o niepodległość Białorusi udzielono całkowitej amnestji. I praca Białorusinów, do której stanęły wszystkie czynne siły białoruskie, dała obfity plon w postaci tysięcy białoruskich szkół ludowych, setek uczelni średnich oraz szeregu szkół wyższych, w postaci Białoruskiej Akademii Nauk, Wydawnictwa Państwowego, nawet bogatej prasy, teatrów państwowych oraz ośrodków twórczej pracy artystycznej — wreszcie w postaci dobrze zorganizowanej gospodarki rolnej typu fermowego, czyniącej zadość zarówno odwiecznemu dążeniu włościństwa do ziemi, jak i wymogom produkcji rolnej.

Jednak ustępstwo to ze strony czerwonej Moskwy było tylko czasowem. I słusznie rząd Białoruskiej Republiki Ludowej na Konferencji w Wersalu zwracał się do mocarstw z żądaniem, by niepodległy byt państwowy Białorusi został zabezpieczony w drodze aktu o charakterze międzynarodowym: bo ukrywany pierwotnie pod hasłami międzynarodowości czerwony nacjonalizm moskiewski przy tworzeniu BSSR. miał na względzie li tylko osłabienie dążeń niepodległościowych Białorusinów, w chwili zaś, gdy dalszy potężny rozrost narodowej kultury białoruskiej mógł już nazawsze zabezpieczyć naród białoruski przed dążeniami wynaradawiającymi ze strony

sąsiednich nacjonalizmów, a większość byłych bojowników o niepodległość Białorusi, szczerze uwierzywszy w amnestję sowiecką, zebrała się w granicach BSSR. — w tej właśnie chwili czerwona Moskwa radykalnie zmieniła swój stosunek do Białorusinów i zapoczątkowała bezprzykładny atak przeciwko wszystkiemu, co jest białoruskiem.

Komunistyczny rząd moskiewski zaaresztował setki białoruskich działaczy kulturalnych, oskarżając ich o wrogi stosunek do władzy sowieckiej. Aresztowani zostali: akademicy Losik, Niekraszewicz, Kraskowski, b. członkowie Kompartji Iluczonok, Adamowicz, Balicki, rektor Uniwersytetu Państwowego w Mińsku Piczeta, sekretarz Akademii Nauk Łastowski, prezes Białoruskiego Czerwo ego Krzyża Ćwikiewicz i inni. Wszystkim im grozi proces sądowy i najwyższa kara — kara śmierci. I kara ta zostanie wykonana, aczkolwiek całe oskarżenie oparte jest na oczywistej prowokacji ze strony G. P. U.: najlepszym dowodem tego jest fakt, iż wśród zaaresztowanych znajduje się cały szereg ideowych komunistów, dawnych członków partii komunistycznej, twórców nowego ustroju społecznego na ziemiach Wschodniej Białorusi.

Oprócz teroru fizycznego władza sowiecka stosuje i terror moralny. I ten podwójny terror okazał się w skutkach swych tak monstrualnym, że b. prezydent Białoruskiej Akademii Nauk, wybitny członek partii komunistycznej, prof. Wsiewołod Ihnatowski, na znak protestu popełnił samobójstwo, a jednocześnie dokonał zamachu na swoje życie Janka Kupala, najwybitniejszy poeta białoruski, który jeszcze tak niedawno otrzymał od władzy sowieckiej honorowy tytuł „poety ludowego”.

Straszliwy w swej formie protest prof. Ihnatowskiego i Janki Kupaly musi wreszcie poruszyć nie tylko cały naród białoruski, lecz i cały świat kulturalny, a w tej liczbie i te mocarstwa, które przy podpisywaniu Traktatu Wersalskiego ominięły milczeniem żądanie Białorusinów zabezpieczenia niepodległości Białorusi w drodze aktu międzynarodowego. Jęki białoruskich działaczy kulturalnych, kałowanych w więzieniach G. P. U., oraz krew Ihnatowskiego i Janki Kupaly muszą przypomnieć tym, kto zdolny jest odczuć straszliwą tragedję bezbronnego narodu białoruskiego, że od rozwiązania kwestji białoruskiej w Wersalu mocarstwa uchylły się, że elementarne poczucie sprawiedliwości wymaga, by sprawa ta stanęła na porządku dziennym przed forum międzynarodowym, jako sprawa ważna i pilna.

My, niżej podpisani reprezentanci Centralnego Związku Białoruskich Kulturalno Oświatowych i Gospodarczych Organizacji i Instytucyj, który obejmuje: *Białoruskie Towarzystwo Naukowe, Białoruskie T-wo Dobroczynności, Komitet Rodzicielski Gimnazjum Białoruskiego w Wilnie, Wileńskie Gimnazjum Białoruskie, Komitet Rodzicielski Gimnazjum Białoruskiego w Nowogródce, Nowogródzkie Gimnazjum Białoruskie, Komitet Rodzicielski Gimnazjum Białoruskiego w Klecku, Kleckie Gimnazjum Białoruskie, Redakcje pism białoruskich „Białoruski Zwon” i „Sacza”, Kooperatywa „Pczala”, poszczególne organizacje: Towarzystwa Szkoły Białoruskiej, jako też reprezentanci organizacji nie scentralizowanych w Związku jak to: Białoruskiego Związku Akademików, Białoruskiego T-wa Wydawniczego, Zjednoczenia Kobiet Białoruskich, — zgromadzeni na konferencji w Wilnie w dniu 24 lutego 1931 roku, po rozpatrzeniu znanych informacji o niszczeniu w BSSR białoruskiego dob,tku kulturalnego oraz o kałowaniu — fizycznym i moralnym — twórców kultury białoruskiej, — podnosimy nasz głos stanowczego protestu przeciwko barbarzyńskiej kampanji czerwonego nacjonalizmu moskiewskiego przeciwko narodowi białoruskiemu, nawołujemy białoruskie masy ludu pracującego by się do tego protestu naszego przyłączyły, wzywamy cały świat kulturalny do wystąpienia w obronie kultury gnębianego narodu białoruskiego, niemilosiernie niszczonej przez czerwoną Moskwę.*

Następują podpisy.

Pamiętniki byłego zuba.

Czytając świeżo wydane pamiętniki p. Hipolita Korwin-Milewskiego*) doznaje się bezustannie sprzecznych wrażeń. Autor ich bowiem stanowi dziwaczną mieszaninę inteligencji, wykształcenia, krytycyzmu

*) **Hipolit Korwin-Milewski**. *Siedemdziesiąt lat wspomnień*. (1855—1925). Poznań 1930.

z jednej strony i płytkości, ignorancji, zaślepienia z drugiej. Zachodnio-europejska kultura obok szlacheckiej zaściankowości, niezaprzeczony realizm polityczny obok ciasnego dektrynerstwa, wielkopańskie gesty obok kupieckiego wyrachowania, rzadka prawdomówność i szczerłość posunięta nieraz aż do brutalności obok wyraźnego zarozumiałstwa i jawnej pretensjonalności. A wszystko to okraszone gryzącym dowcipem, dzięki któremu p. Hipolit Korwin-Milewski jeszcze w petersburskiej Radzie Państwa zyskał sobie przezwisko „torebki z trucizną“.

Wychowany zagranicą w szkołach francuskich i przyzwyczajony do zachodnio-europejskich zwyczajów i stosunków, przez całe życie nie mógł się p. Milewski nałamać do słowiańskiego niedbalstwa i prymitywnych pojęć o honorze, obowiązku, słowności, jakie panują powszechnie w społeczeństwie polskim, to też nie szczędzi pod tym względem zjadliwych uwag i ustawicznie powraca do tego ulubionego tematu. I trzeba przyznać, że po większej części ma zupełną słuszność. Trudno się nie uśmiechnąć z uznaniem, gdy autor opisując punktualność, przestrzeganą niezmiernie surowo w liceum Bonapartego w Paryżu czyni taką oto trafną uwagę: „Dla tego, kto taką szkołę przebył, już na całe życie *rendez-vous* o 4^{1/2} nie oznacza tak, jak dla 29 milionów moich kochanych rodaków, coś między obiadem a kolacją: to oznacza czwartą 29 minut i 60 sekund“.

Tego rodzaju refleksje i spostrzeżenia, wyrażone w mniej lub bardziej zgryźliwej formie o ludziach i rzeczach czynią z książki p. Korwin-Milewskiego interesującą lekturę zwłaszcza dla tego czytelnika, który znał Wilno przed wojną. Ciekawe są również wspomnienia autora z czasów petersburskich, sylwetki dygnitarzy rosyjskich oraz rewelacje o stosunkach panujących wśród ówczesnej reprezentacji polskiej w Dumie i Radzie Państwa, wreszcie charakterystyka Komitetu Narodowego w Paryżu w okresie wojny. Żadnej wartości natomiast nie mają rozważania społeczno-polityczne autora, chociaż sam on przywiązuje do nich wielką wagę.

Konserwatysta i ugodowiec o tendencjach skrajnie nacjonalistycznych, mający respekt jedynie dla siły, z niezmierną pogardą traktujący wszystkie ruchy emancypacyjne, narodowe i społeczne, nader powierzchownie obeznany z dawną i nową historją własnego kraju oczywiście nie jest w stanie zrozumieć rozgrywających się na jego oczach wypadków i ocenia je pod kątem ciasnego światopoglądu klasowego ze sporą domieszką wszechpolskiej fanfanonady.

Stosunek jego do ruchów litewskiego i białoruskiego jest tak szowinistyczno-pyszalkowaty, a jednocześnie grzeszy taką naiwnością i ignorancją, że nie sposób zrozumieć, jak może człowiek, przechwalający się ciągle swem poczuciem sumiennosci, zabierać głos w sprawach, o których nie ma najmniejszego pojęcia.

Szczególną nienawiścią pała p. Korwin-Milewski do Litwinów i Litwy niepodległej. Ani naród litewski, ani język litewski nie istnieją dlań. Jest tylko gwara i lud, obalamucony przez parę setek półinteligentów. To też za największą winę poczytuje bdpowiedzialnym politykom polskim, że dopuścili do powstania państwa litewskiego. Zresztą z takim samym lekceważeniem traktuje Łotwę i Estonję, której mieszkańców nie nazywa inaczej jak „czuchońcami“. Na kwestję białoruską zapatruje się tak, jak przeciętny czytelnik „Dziennika Wileńskiego“. Jeżeli wieźmiemy

pod uwagę, że nie cierpi Niemców, których stale tytułuje „Boskami“ i jest przesiąknięty do głębi antysemityzmem — to będziemy mieli dostateczne pojęcie o ideologii b. reprezentanta Wileńszczyzny w rosyjskiej Radzie Państwa i gorliwego informatora szeregu poważnych czasopism francuskich o naszym kraju i stosunkach polsko-litewskich.

Zastanawiającą jest ta mocna nuta nacjonalistyczna, która przebija w jego wynurzeniach. Pamiętamy przecież dobrze p. Hipolita Korwin-Milewskiego z jego dawniejszych wystąpień, z czasów redagowania przezzeń „Kurjera Litewskiego“. Pod względem narodowym odznaczał się wówczas zdecydowanym indyferentyzmem i od typowych naszych „żubrów“ różnił się tylko większym cynizmem i bardziej nowoczesnym ujmowaniem interesów stanowo-klasowych. Polską się nie interesował i nawet nie znał jej wcale. Warszawę oglądał bodaj tylko w przejeździe do Klubu Myśliwskiego a Kraków i rdzenny lud polski, jak sam to przyznaje, po raz pierwszy zobaczył dopiero w r. 1910 podczas uroczystości Grunwaldzkich. Ewolucję w kierunku wszechpolskim odbył na naszych oczach, zapewne pod wpływem posłów do Dumy i Rady Państwa z Kongresówki, w pierwszym rządzie Dmowskiego, o którym wyraża się w swych wspomnieniach z całym uznaniem, na jakie mu tylko pozwala wysokie mniemanie o własnych zdolnościach politycznych.

I jeszcze, zdaje się, jest jeden powód tego charakterystycznego traktowania z góry wszystkiego, co nie imponuje majątkiem, urodzeniem, głośnem imieniem, oglądą towarzyską. To — pochodzenie p. Hipolita Korwin-Milewskiego. Swój rodowód autor przedstawia dość pobieżnie. „W połowie XVIII wieku żył w słuckim powiecie p. Dominik Korwin-Milewski herbu Ślepowron, którego jakiś przodek w XVII w. czy wcześniej, jak większość szlachty na Litwie i Białorusi (prócz żmudzkich autochtonów) przywędrował z Korony...“ Otóż to. Nie wiemy dokładnie w którym wieku przywędrował przodek p. Hipolita z Polski, ale trzeba przypuszczać, że niezbyt dawno, bo ród nie zdążył się zasymilować psychicznie ze środowiskiem miejscowem i typowe dla krwi mazurskiej temperament oraz mentalność ujawniły się w całej pełni w prawnukach: Hipolicie i jeszcze bardziej w jego bracie słynnym Ignacym.

Myli się bowiem grubo autor pamiętników utrzymując, że większość szlachty na Litwie i Białorusi przywędrowała z Korony. Przeciwnie, większość jest pochodzenia miejscowego: litewskiego i białoruskiego. Czyż wymienione nieco wyżej przez niego rodziny Tyszkiewiczów, Wańkowiczów, Woyniłłowiczów, Skirmuntów, Mirskich, Druckich-Lubeckich, Obuchowiczów, Białozorów i t. d. nie mówiąc już o „królewiętach“ Radziwiłłach, Sapiebach, Pacach, Chodkiewiczach, Pocięjach przybyły do nas z Mazowsza czy Małopolski? Nie, są to spolszczone rdzennie białoruskie i litewskie rody bojarskie. I dlatego wśród nich rzadko można zaobserwować taką żywiołową niechęć i pogardę względem litewskości i białoruszczyzny, jaką na każdym kroku manifestuje z całą otwartością p. Hipolit Korwin-Milewski. Nie mniej od niego typowy i wybitny „żubr“ miński Edward Woyniłłowicz nie tał nigdy swych sympatyj dla odrodzenia białoruskiego, (choć rozumiał je na swój sposób) dlatego właśnie, że jego przodkowie nie byli przybyszami.

Mniejsza jednak o ideologję p. Hipolita Korwin-Milewskiego. Z natury rzeczy nie może ona budzić

większego zaciekawienia. Bardziej rażąca jest u czło-
wieka wykształconego i obeznanego z metodami nau-
kowymi ta niezmierna powierzchowność, jaka cechuje
autora, gdy wydaje swój sąd o przedmiotach zgoła
sobie obcych. O języku litewskim urabia sobie opinię
na podstawie tego, co usłyszał od swojej kucharki—
Litwinki i swego lokaja—Litwina (szczegół niezmiernie
charakterystyczny, że i trzeci służący również
jest Litwinem); a opracowując swój memoriał w r. 1913
dla Watykanu o kwestji języków w kościołach kato-
lickich w Wilnie, złożył konsylium lingwistyczne z na-
stępujących fachowców: swego kamerdynera, hr. Aleksandra
Tyszkiewicza i pokojówki jego matki. Również, gdy
wypadło mu polemizować z profesorem językoznawstwa
porównawczego w Collège de France p. Meillet na temat
języka białoruskiego, zasięgnął znów porady tegoż
kamerdynera Litwina i doszedł do wniosku, że istnieje
tylko gwara białoruska, a właściwie polsko-rosyjska,
ponieważ ów kompetentny rzeczoznawca wyliczył
zaledwie pięć wyrazów, niezapożyczonych z polskiego
lub rosyjskiego języka!

Wogóle tupetu p. Milewskiemu nie brak. Z całą
pewnością siebie feruje wyroki i wygłasza twierdzenia
na podstawie niedokładnych lub zgoła nieprawdziwych
informacji, a nawet bez żadnej podstawy. Biskupa Roppa
np. oskarża o „litwomaństwo” dlatego, że miał rzeko-
mo podczas ingresu w katedrze wileńskiej przemówić
przedewszystkiem po litewsku, a o inklinacje litwo-
mańskie pomawia również Józefa Montwiłła. Najparad-
niejszy zaś jest pogląd, kilkakrotnie z naciskiem
zaznaczany w pamiętnikach, że likwidacja polsko-
ści w naszym kraju rozpoczęła się dopiero od r. 1921
i że rządy polskie świadomie (?) wywierają nacisk
w tym kierunku...

Poważnie brać wszystkich tych wynurzeń niedo-
szłego męża stanu oczywiście nie można i nie należy.
Ale dla ilustracji minionej bezpowrotnie epoki stanowią
one cenny przyczynek. W ubogim bowiem ówczesnym
życiu społeczno-politycznym w naszym kraju autor
wspomnień odegrał wybitną rolę a o tem, co widział,
co słyszał i co robił umie opowiadać żywo i zajmująco.
Szkoda tylko, że niemożliwie przekręca nazwiska
nawet dobrze sobie znanych osób.

Licz.

Oświadczenie.

Posel dr. Stefan Brokowski uczuł się dotkniętym
treścią artykułu „Obcy ludzie i obce metody” zamiesz-
czonego w Nr. 19 „Przeglądu Wileńskiego” z roku ubie-
głego i ogłosił na szpaltach „Słowa” oraz „Kurjera
Wileńskiego” jednobrzmiący list do redakcji, piętnując
w ostrych słowach postępowanie autora tego artykułu,
ukrywającego się pod pseudonimem i zapowiadając
pociągnięcie do odpowiedzialności redaktora naszego
pisma.

Oczekiwałem tedy rozprawy sądowej. Jak się okazało
jednakże, dr. Brokowski pisząc o „pociągnięciu do
odpowiedzialności” miał na myśli nie sąd państwowy,
lecz satysfakcję honorową.

W konsekwencji poczuwam się do obowiązku
zaznaczenia jeszcze raz wyraźnie, co już było zresztą
powiedziane w przypisku redakcyjnym do wspomnianego
artykułu, że zamieściłem go wyłącznie jako dokument,
ilustrujący rozdzwiewki, panujące w wileń-

skim obozie prorządowym, nie wchodząc w meritum
zarzutów, wysuniętych przeciwko dr. Brokowskiemu
i innym wymienionym przez anonimowego autora
osobom. Zarzutów tych osobiście ani podzielam, ani
ich podtrzymuję, ponieważ z działalnością Komitetu
Wyborczego BBWR nie miałem żadnej styczności
i stosunki panujące w łonie Komitetu są mi najzu-
pełniej niezbrane.

Jeśli autor artykułu „Obcy ludzie i obce me-
tody” nadużył zaufania redakcji, wprowadzając ją
w błąd fałszywym oświetleniem stanowiska dr. Bro-
kowskiego oraz innych działaczy z obozu prorządo-
wego i załatwiający za pośrednictwem „Przeglądu
Wileńskiego” swe porachunki osobiste, to nie pozostaje
mi nic innego, jak wyrazić z tego powodu najżywsze
ubolewanie.

Ludwik Abramowicz.

Z prasy litewskiej.

(W oczekiwaniu Synodu wileńskiego. — Niebezpieczeństwo niemieckie).

W związku z zapowiedzianym zwołaniem latem
b. r. Synodu archidiecezjalnego w Wilnie pismo
litewskie „Viln. Rytojus” (Nr. 13) zwraca uwagę na
upośledzenie katolickiej ludności litewskiej.

„Od pewnego czasu — pisze „Viln. Rytojus” —
urządza komisja synodalna, która opracowuje od-
nośne materiały, nad którymi Synod będzie dysku-
tował. Niewiadomo dokładnie w jakim stosunku Syno-
dowi potrzebami katolików w Wileńszczyźnie będzie
się zajmował. Tymczasowy Komitet litewski w Wilnie
próbował tego się dowiedzieć, lecz zbyt go opryskliwie.
Z uchwałami zjazdu katolików Litwinów i Białorusinów
nikt się nie liczy. Przypomnieć więc należy raz
jeszcze bolesną sprawę katolików Litwinów w Wileńszczyźnie.

Poruszono już przed paru miesiącami sprawę
wykładów religji w szkołach polskich, do których
uczęszczają dzieci litewskie. Poruszyć też należy
ograniczenie nabożeństw litewskich w Wileńszczyźnie.
Zbiór pism Tymczasowego Komitetu Litewskiego
do arcybiskupa wileńskiego i nuncjusza papieskiego
w Warszawie został przez starostwo grodzkie skon-
fiskowany. Tem niemniej niepodobna tej sprawy
pominąć milczeniem, zwłaszcza, że wkrótce obra-
dować będzie Synod.

Artykuł 23 konkordatu polskiego z 1925 r., głosi
wyraźnie, że nie nastąpią żadne zmiany w językach
używanych w diecezjach obrządku łacińskiego w ka-
zaniach, nabożeństwach dodatkowych i t. p. Tym-
czasem cóż się stało z językiem litewskim w wię-
kszości kościołów archidiecezji wileńskiej? W jednych
kościółach został język litewski całkowicie zniesiony,
w innych zaś ograniczony. Oto fakty: po wyjeździe
z Wilna biskupa Matulewicz, zastępujący go ks.
Michalkiewicz ograniczył nabożeństwo litewskie w ko-
ściele święciańskim, skasował nabożeństwo litewskie
w Raduniu, pozbawiając około 2 tys. Litwinów moż-
ności słuchania słowa Bożego w ojczystym języku,
ograniczył w 1927 r. nabożeństwa w języku litewskim
w Rudni, w Pelesie, Hoduciszkach, w Wasiunach,
Perwałkach i innych. Ograniczenie nabożeństw w ję-
zyku litewskim pociągnęło za sobą wprowadzenie
nabożeństw polskich. Charakterystyczną też jest rze-

czą, że wszystkie te zmiany dokonane zostały przede wszystkim nie drogą pisemną, a tylko na rozkaz proboszcza. Postępowano tak w tym celu, aby nie pozostawić żadnych śladów co do tego, kiedy porządki takie nastąpiły. We wszystkich tych więc wypadkach nie trzymano się konkordatu. Pozatem pozostaje sprawa trzecia, a mianowicie osadzanie księży Litwinów w parafjach białoruskich, natomiast księży Polaków, względnie największych wrogów litewskości — w parafjach litewskich i mieszanym.

Reasumując, najżywoźniejszymi kwestjami, które składają się na anormalną sytuację Litwinów w Wileńszczyźnie są: 1) wykład religji w obcym niezrozumiałym dla dzieci języku w większości szkół polskich, do których uczęszczają dzieci litewskie, 2) mimo konkordatu zniesienie w wielu kościołach nabożeństw litewskich, 3) obsadzanie przez księży Litwinów parafij polskich i białoruskich, a przez księży Polaków parafij litewskich“.

* * *

„Lietuvos Žinios“, (Nr. 24) w artykule p. t.: „Czy niema niebezpieczeństwa“ polemizuje z wywodami „Liet. Aidas“ na temat niebezpieczeństwa niemieckiego.

„Gdy hitlerowcy osiągnęli zwycięstwo przy wyborach do Reichstagu, urzędówka litewska pisała z pewnym zadowoleniem, że jest to objaw zdrowej reakcji przeciwko rozpanoszonej sejmokracji i przepowiadała kryzys parlamentaryzmu niemieckiego.

Wprawdzie dotychczas nie udało się hitlerowcom spowodować kryzysu parlamentarnego, tem niemniej może się już „Lietuvos Aidas“ cieszyć z osiągniętych przez hitlerowców sukcesów. W polityce zagranicznej presja hitlerowców ujawnia się w dużym stopniu. Rząd Brüninga nie zgadzając się na ustępstwa w zakresie polityki wewnętrznej skłonny jest do zrekompensowania hitlerowców w zakresie polityki zagranicznej. W związku z tem popiera rząd Brüninga pośrednio wszystkie żądania hitlerowców w zakresie restauracji dawnej potęgi Niemiec. Poza tem przyznać trzeba, że hasła hitlerowców cieszą się szeroką popularnością. Hitlerowcy dążą przede wszystkim do rewizji traktatu wersalskiego. Rewizja ta miałaby się zacząć od zwrotu Niemcom ziem na Wschodzie. Hitlerowcy na razie rozumieją doskonale że absurdem jest myśleć o zwrocie Alzacji i Lotaryngji. Francja jest pod względem militarnym zbyt dziś potężna w porównaniu z Niemcami. Poza tem Francja ma wiernych sojuszników (Mała Ententa i Polska). W razie wojny z Francją Anglja też nie pozostanie neutralna. Co innego natomiast rewizja wschodniej niemieckiej granicy. Niemcy swych wschodnich sąsiadów wcale się nie obawiają. Stosunki zaś prawicowców niemieckich z Z. S. S. R. są jawniejsze.

Rzecz prosta więc, pierwsza próba rewizji granic będzie dokonana na Wschodzie. Hitlerowcy wcale się z tem nie kryją. Wiedzą oni, że w obecnych warunkach Europa nie będzie wojowała z Niemcami dla jakiegoś kawałka ziemi na Wschodzie zwłaszcza, że można to będzie Niemcom zaliczyć jako rekompensatę za przestrzeganie spokoju na Zachodzie. W związku z tem w ostatnich czasach hitlerowcy wraz z Treviranusem otwarcie mówią o zbrojnej rewizji wschodnich granic. Mają oni na myśli nie tylko korytarz gdański, lecz również Kłajpedę. Znane są przechwałki wodzów hitlerowców, że mogą oni w ciągu trzech godzin Kłajpedę zająć. Nie ulega

wątpliwości, że sprawa Kłajpedy jest jedną z główniejszych spraw należących do programu hitlerowców. Nie trzeba być naiwnym, natomiast należy nabrać przekonania, że hitlerowcy wyczekują jedynie dogodnego momentu, ażeby podjąć rewizję. O przygotowaniach hitlerowców dużo już w swoim czasie prasa zagraniczna pisała.

W Litwie nikt nie zwraca uwagi na to, jakich wysiłków dokładają w ostatnich czasach hitlerowcy, ażeby obalić pruski rząd demokratyczny. Hitlerowcy energicznie przygotowują plebiscyt, któreby wyraził rządowi pruskiemu votum nieufności. Łatwo sobie wyobrazić sytuację, jaka się wytworzy z chwilą ujęcia władzy w Prusach Wschodnich przez militarystów niemieckich, kiedyto w tym kraju skoncentrują się bojówki hitlerowców z doświadczonymi jeszcze z czasów wielkiej wojny oficerami. Wtedyto rozpoczną się próby rewizji granicy wschodniej.

Konieczną jest rzeczą zastanowić się nad tem wszystkim, zwłaszcza zaś nad poważnym niebezpieczeństwem, które grozi Kłajpedzie ze strony hitlerowców“.

Walka o język żydowski w szkole.

Jak donosi prasa żydowska, w grudniu b. r. wszystkie zakłady naukowe w państwie, od przedszkoli poczynając a na uniwersytetach kończąc, otrzymały okólnik Min. W. R. i O. P. w sprawie przeprowadzenia ankiety co do stanu szkolnictwa. Okólnik polecał m. inn. wykazanie w ankiecie ilości uczniów według ich języka macierzystego.

Prasa żydowska niezwłocznie rozpoczęła usilną agitację, by społeczeństwo żydowskie dopilnowało tej sprawy i by ankieta zawierała dane zgodne z rzeczywistością.

W pierwszym rzędzie wystąpił z gorącym apelem „Wilner Tog“, wskazując na doniosłość wyników ankiety dla interesów narodowych żydowskich.

„Język macierzysty dziatwy szkolnej — pisał ten dziennik — to przecież fundament, na którym opiera się nasza ciężka walka o szkołę żydowską, jest to przecież kamień węgielny całego naszego bytu narodowego. Przeciwnicy nasi starać się będą bezwzględnie wszelakimi sposobami podstawę tą zwać i sprowadzić dane statystyczne do minimum. Czy można polegać na nauczycielach szkół powszechnych, osławionych „szabasówek“ (szkoly polskie dla dzieci świętujących sabat), że dbać będą o dokładne wymiowanie języka macierzystego uczniów?“

I autor artykułu kończy:

„Obowiązkiem prasy żydowskiej w tak ważnym momencie jest stać na straży naszych narodowo-kulturalnych interesów i wszcząć akcję propagandowo-uświadamiającą, by wszystkie dzieci żydowskie w Polsce podały za swój język macierzysty tylko język żydowski“.

Ankieta tę omawiał też szeroko „Cajt“ wileński. Cytując na początku ustępy okólnika ministerjalnego, w których się mówi że materiały ankiety wykorzystane będą przez ministerstwo przy organizowaniu na przyszłość szkolnictwa w państwie polskim i zwracając uwagę na ten doniosły fakt, że ministerstwo uważa język żydowski za język macierzysty Żydów, autor zwraca uwagę na to, jak ważne znaczenie mogą mieć wyniki ankiety dla dalszego ukształtowania się szkolnictwa mniejszościowego w państwie

polkiem, a szczególnie w naszym kraju i dłużej się zastanawia nad kwestją odpowiedzi dzieci żydowskich.

Możemy być zupełnie spokojni co do odpowiedzi w naszych szkołach żydowskich i hebrajskich. Niebezpieczeństwo zaś grozi w szkołach żydowsko-polskich i „szabasówkach”. Wiemy przecież, jak niektórzy żydowie odnoszą się do języka żydowskiego i że niektórzy z tych żydków gotowi są zdradzać naszą sprawę. Jasną jest rzeczą, że nawet dzieci z naszych „szabasówek” rozmawiają w domu po żydowsku. Jest więc absurdem ukrywać ich język macierzysty. Podanie jakiegokolwiek języka nieżydowskiego za język macierzysty Żydów musi tylko wywołać lekceważenie Żydów ze strony sąsiadów, którzy wiedzą, jak trzeba szanować własny język“.

Artykuł wzywa w końcu młodzież szkolną, by ona sama kontrolowała kierowników szkół, czy w odpowiedziach co do języka macierzystego podany został istotnie język żydowski.

O sprawie tej zamieszczały artykuły prawie wszystkie pisma żydowskie w Polsce bez różnicy odcieni i kierunku. Godny zaznaczenia jest ten fakt, że nawet pisma sionistyczne występowały za językiem żydowskim i nikt nie agitował za tem, by za język macierzysty podawać hebrajski.

Obecnie ankieta już została przeprowadzona. Odpowiedzi wszystkie już są nadesłane. A jaki rezultat? Wynikowi ankiety poświęca specjalny artykuł „Wochenschrift for Literatur un Kultur (Tygodnik dla Literatury i Kultury)”.

„Ludność żydowska w Polsce poddana była ostatnio egzaminowi: dzieci żydowskich szkół państwowych miały dać odpowiedź na pytanie, jaki jest ich język macierzysty. A stało się to, co stać się musiało...”

Języka żydowskiego w tych odpowiedziach nie umieszczono. Posłuszni nauczyciele żydowskich szkół powszechnych zrobili to, co im kazano „naczalstwo”. Spełnili wolę władzy szkolnej — a w ciągu jednej nocy znikł cały naród, cała grupa językowa; wszystkie dzieci pochodzenia żydowskiego krzyczały w jeden głos: „jesteśmy Polakami i naszym językiem macierzystym jest polski”.

Autor artykułu p. Sz. Každon, znany żydowski działacz kulturalny zrzuca całą winę na nauczycieli żydowskich szkół publicznych i dochodzi do wniosku, że trzeba zorganizować rodziców dzieci żydowskich szkół publicznych do stałej i systematycznej walki o przekształcenie tej szkoły z językiem wykładowym polskim na szkoły z językiem żydowskim.

„Silny związek rodziców publicznych szkół żydowskich mógłby się stać ważnym czynnikiem w walce o *idisz*. Trzeba taką organizację stworzyć. Rodzice mu-

szą wyjść ze swej beczynności i muszą wszcząć systematyczną walkę o przekształcenie polskiej szkoły powszechnej dla Żydów w szkołę żydowską”.

Przy tej sposobności warto zaznaczyć, że kierownicy szkół ogólnych podali po większej części język żydowski jako język macierzysty swych uczniów żydowskich. Język polski wymienili tylko kierownicy szkół polskich dla dzieci świętujących sabat.

Jeżeli już mowa o walce społeczeństwa żydowskiego o szkołę żydowską, godzi się zacytować artykuł warszawskiej „Folkscajtung” o stosunku rządu i większości ugrupowań polskich do problemu szkolnictwa żydowskiego.

„Na posiedzeniu sejmowej komisji budżetowej dowiedzieliśmy się, że niema żydowskiej kwestji szkolnej w Polsce, gdyż nikt nie wspomniał o niej ani jednym słowem. Ministerstwo nie daje tym szkołom ani jednego grosza subwencji, a gdy jakąś zapomogę zsygnuje ten lub ów magistrat, to władza nadzorcza ją wykreśla pod pozorem, że szkoły te nie są przesiąknięte duchem państwowym”.

J. H.

Listy Elizy Orzeszkowej.

Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej w Grodnie czyni przygotowania do wydania w przyszłości pełnego zbioru pism Autorki „Nad Niemnem”.

Eliza Orzeszkowa, żyjąca wszystkimi troskami swego pokolenia, reprezentująca w literaturze współczesne ideały — prowadziła rozległą korespondencję z ludźmi swej epoki zajmującymi wybitne stanowiska w służbie publicznej. W listach tych Poetka pól litewskich dawała wyraz swoim poglądom nie tylko na sprawy aktualne, ale i na zagadnienia i zjawiska o znaczeniu nieprzemijającym.

Dążeniem Towarzystwa Wielkiej Pisarki jest, aby w zbiorze, kompletnem wydaniu pism Elizy Orzeszkowej znalazły się te z jej listów (względnie ich urywki), w których zawarte są wyśli Poetki o znaczeniu ogólnem — myśli zawsze podniosłe i budujące.

Podając powyższe do publicznej wiadomości, Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej w Grodnie zwraca się do wszystkich instytucyj i osób posiadających listy prywatne Orzeszkowej z gorącym apelem o nadsyłanie ich Towarzystwu pod adresem prezesa Zarządu Stanisława Ziemaka (Grodno, Al. 3-go Maja 4-a).

Listy te, po skopjowaniu, zostaną w trzydniowym terminie zwrócone ich właścicielom listami poleconymi.

WYDAWNICTWA LUDWIKA CHOMIŃSKIEGO

JAN BUŁHAK

„Wędrowki fotografa w słowie i obrazie“

I. Krajobraz wileński

Cena 3 zł. 80 gr.

ŻARTY NIE NA ŻARTY

Bajki Satyry i piosenki

BENEDYKTA HERTZA

Cena 9 zł.

Skład główny w Księgarni Św. Wojciecha w Wilnie, ul. Dominikańska 4

